[1877]

Carissime et reverendissime amice!

Przesyłam do Was znów list do naszej pani, który chciejcie jej oddać na tychże samych warunkach jak i poprzedni, tj. na cztery oczy, a to dla tej ważnej, przeważnej i arcyważnej przyczyny, że w liście onym, czyli rzeczonym, proszę ją i zaklinam objeżdżając o milę rzecz, aby przy tłumaczeniu mego dramca na język onych angielczyków nie słuchała ani rad, ani wskazówek swego małżonka, który wtrącać się we wszystko lubi, po angielsku zaś mówi jak krowa, a na literaturze zna się jak koza na pieprzu. Oczywiście tak delikatnej materii, którą trzeba było dziwnie owijać bawełną, nie mogłem załatwić ani przez Wasze usta, ani posyłając list wprost, który przez troskliwego o korespondencje małżonki małżonka byłby niezawodnie przeczytany. I tak pisząc musiałem przebierać w wyrazach jak Żyd w rybach, żeby samejże pani, zbyt otwarcie pisząc o przymiotach umysłowych pana, nie obrazić! Ale zdaje mi się, iż to jakoś pójdzie. Co do Was – ostatni to już raz trudzę Wasze lenistwo, a raczej nie lenistwo, ale ambarasofobię podobnymi przesyłkami. Albowiem prócz wielu innych: a l e, a l e, nie chciałbym także poruszać mefistoficznej podejrzliwości, któraby gotowa, jeśli pani Helena list ten Wam pokaże, między wierszami mówiącymi o czci, uwielbieniu i przyjaźni doczytywać się jakichś (pani dobrodziko!) antyfon albo aktów strzelistych dłuższego niż czterdziestogodzinne nabożeństwa.

Cóżem tedy chciał mówić? Aha! Dramiec ów przerabiam na polski, co, mam nadzieję, zapewni mi stałą nieśmiertelność w gronie kończących obecnie pensję mecenasek literatury dramatycznej polskiej, od których to mecenasek:

„na kolendę
może i ja
coś dostać b e n d ę."

co daj panie dobrodzieju. Amen! Żarty pominąwszy, gdyby ono piśmidło doszło pani przez ręce pana, mniejsza, że ja miałbym śmiertelnego wroga, ale i ona wiele przykrości, jako ktoś do niej pisać śmie, że pan nie jest genialnym dramaturgiem i filologiem angielskim. Powiadam, że zrobienie pani przykrości, a raczej pomnożenie i tak niemałej ich liczby poczytywałbym sobie za największy grzech, jaki kiedykolwiek popełniłem.

Co, mamy wojnę? czyli innymi słowy świat zaczyna się polerować, bo się kpy biją. Oby nam coś z tego przyszło – i przyjdzie z pewnością, ale czy coś lepszego, Bóg wie. Myśl, że Prusacy mogą zabrać po Wisłę, truje mnie tu czasem wcale nie żartem.

Kapitana wyglądam z niecierpliwością, bo raz miłe mi jego towarzystwo, a po wtóre przyjdą z nim gazety. Ale! Bądźcie tak dobrzy i łaskawi proście Bielawskiego, aby oznaczył

dobrze, skąd, tj. od którego miasta zaczyna się pustynia kalifornijska, ta, przez którą przechodzi kolej do Los Angeles, i gdzie się kończy, oraz do jakiego rodzaju drzew należą palmety, które tam rosną. Jestem w trakcie opisywania jej, czego oczywiście nikt czytać z powodu wojny nie będzie. – Jeszcze jedno. Jako dobry a szczery przyjaciel – zaklinam Was, nie upatrujcie we wzmiance Lea w liście do Was czego innego, jak jest napisane. Niech Wam przypadkiem nie przechodzi przez głowę, że Was się chcą grzecznie pozbyć. Pod słowem powiadam Wam, że tak nie jest. Jesteście im potrzebniejsi niż oni Wam. Wiem to od dawna i zupełnie na pewno. Moje koresp[ondencje], choć z Kalifornii także, nie grają tu żadnej roli, bo to są opisy z podróży, nie stałe korespondencje amerykańskie, a po wtóre ja dziś jestem tu, jutro tam, dziś w objęciach Klaudyny, jutro pana Ludwika, na mnie więc ani mogą, ani chcą liczyć. Zresztą pisałem im, że może wyjadę do Arizony, co bym i zrobił, gdyby zamiast 200 dolarów przysłali byli 1200 albo, co jeszcze lepiej, 2200. Powiedzcie mi, co my zrobiemy, jeśli wojna przerwie przesyłkę pieniędzy? *I do not know!* Trzeba będzie wcześnie zakupić sobie postument do czyszczenia *(pour passer le temps)* butów w St. Fr[ancisco]. Przed znajomymi będę się tłomaczył, że to tylko dla zdrowia i dla agitacji na lato.

Ściskam Was.

Wasz Henryk